

Sokolnicki, Michał

Mój płocki mały świat

Notatki Płockie 49/3-200, 45-49

2004

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MICHAŁ SOKOŁOWSKI

MÓJ PŁOCKI MAŁY ŚWIAT

Weszło w zwyczaj w naszym domu, że każdego roku w Święto 3 Maja zabierała nas Mama do Płocka, aby uczestniczyć w uroczystościach przed katedrą i obejrzeć defiladę wojsk płockiego garnizonu. Jechaliśmy bryczką "dużą" (bo była też bryczuszka mała 1-konna) w parę koni z furmanem na koźle. Podróż 18 km z leśniczówki w Korzeniu po tłuczniowej szosie trwała około 2 godzin, ale nie męczyło to nas wcale. Świat wiosną był taki ciekawy i pełen atrakcji. A gdy na szosie z rzadka pojawiało się kanciaste pudło samochodu, zachwytom nie było końca, jak również narzekaniom na wzniecane tumany kurzu.

W Płocku furman lokował konie w hotelowym zajęździe, a my szliśmy na plac przed katedrą, gdzie stawały w czworobokach konne oddziały wojskowe. A było na co patrzeć! W Czwartym Pułku Strzelców Konnych Ziemi Łęczyckiej stały szwadrony, każdy na koniach innej maści. A uzbrojenie! Górą las srebrnych lanc zakończonych proporczykami. Na czapkach amarantowe otoki. Na plecach krótkie karabinki, przy boku lśniące srebrem szable. Obok stoi 8. Pułk Artylerii Lekkiej Im. Bolesława Krzywoustego. Otoki zielone, karabinki. Szable tylko u oficerów. Konie jednolite, ciemno gniade.

Podczas mszy polowej na placu przed katedrą na ewangelię i podniesienie srebrnym błyskiem podnosiły się w górę główne szabel, chyliły się pułkowe sztandary. Huczały trąby orkiestr.

Potem była defilada. Przed dowódcą garnizonu i władzami cywilnymi przeciągały ulicami Tumską i Kolegiálną przed budynek starostwa, gdzie stała trybuna szwadrony i kolumny. Wszystko na koniach! Orkiestry przygrywały marszowo. Już z daleka słychać było nadchodzące baterie armat. Jechały na kołach na żelaznych obręczach, co na bruku powodowało niesamowity brzęk i hałas. Uznawaliśmy to jako signum potęgi, niezwykłej siły wojska. Te lufy, te jaszczce, te ośmiokonne zaprzęgi z uzbrojonymi żołnierzami w siodłach - wszystko to było takie niezwykle. Do tego nasze, polskie! Wracaliśmy pełni dumy i zmęczenia.

Ów zwyczaj wyjazdów do Płocka był cennym elementem patriotycznego wychowania w naszym domu. Dostarczał nam, dzieciom, wrażeń niezwykle, pamiętnych przez długie lata...

Najstarszy brat studiował prawo w Warszawie, siostra i brat Janek byli w gimnazjum w Płocku; w roku 1936 i ja tam trafiłem. Utrzymanie na stacji lub w internacie kosztowało około 60 zł miesięcznie. Cała więc pensja Ojca szła na nasze szkolne utrzymanie. Do tego odzież, czasem korepetytor, no i „czesne” - 100 zł rocznie.

Pierwszym, wielkim wstrząsem w życiu było dla mnie przejście z domu do szkoły i internatu. Odbiło się to na



Ks. Wł. Mąkowski ukrywał się w 1940 r. w leśniczówce Korzeń k. Łącka u Alojzego Sokołowskiego.

wynikach nauki. Na pierwsze półrocze miałem aż 6 dwój! Byłem nieobyty z miastem, internatem i szkołą. Zbyt wielka to różnica w porównaniu z otoczeniem domowym i dotychczasowym życiem. Później rozumiałem, że poznawanie i przyzwyczajanie się do nowych warunków całkowicie mnie absorbowało, a na naukę nie starczało już uwagi i skupienia. W dodatku byłem przyzwyczajony do życzliwości i wyrozumiałości od ludzi, z którymi się spotykałem. A tu ze strony nauczycieli i większości kolegów spotykała mnie w najlepszym razie obojętność.

Wspominając profesorów płockiego gimnazjum, o niektórych z nich myślę z miłą serdecznością. Tak wspominał m.in. geografa, prof. Kalicińskiego, który potrafił interesująco i zrozumiale prowadzić lekcje. Biolog, prof. Wilk „Lupusem” zwany, bardziej szorstki i surowy w obyciu również był wśród nas dość popularny. Łacinnik, prof. Pyżakowski był uosobieniem drewnianej obojętności. Nic nie było w stanie wyprowadzić go z olimpijskiego iście spokoju. Z jednakową twarzą stawał dwójce i czwórki, kreśląc w swym notesie tajemnicze znaki, których nie udało się nam nigdy rozszyfrować. Łacinę lubiłem, a Pyżakowskiego szanowali wszyscy, bo był sprawiedliwy choć surowy.

Lubiłem też język niemiecki, który wykładał pełen temperamentu i werwy prof. Judek. Mieliśmy w klasie kilku kolegów Niemców, przyjaźniłem się z nimi i zyskałem z ich strony pomoc podczas klasówek i wypracowań. Przyjaźniłem się też z Żydami, ich też wśród nas nie brakowało. Niekiedy dokuczano im i wówczas stawałem w obronie słabszych, co przynosiło mi popularność i w tym gronie.

Języka polskiego nauczała pani prof. K. niewiasta w wieku pobałzakowskim, pełna tzw. „peretensji”. Była ona m.in. wyczulona na punkcie urody swych nóg (n.b. niezbyt foremnych). Słynęła z tego, o czym nie wiedziałem. Zaraz na początku mojej kariery gimnazjalnej



Michał Sokółowski (z lewej) z kolegą na moście w Płocku. Marzec 1939 r.

dałem się nabrać starszemu koledze, który namówił mnie, abym się przyjrzał dolnym partiom sylwetki pani profesor. Momentalnie dostrzegła moje zainteresowanie, skarciła mnie ostro i byłem już przegrany u niej na całe trzy lata. A szkoda, bo język polski lubiłem o całe niebo więcej, niż np. matematykę.

Nasi profesorowie - na ogół - utrzymywali dystans i sztywną postawę wobec swych wychowanków. Nie było zrozumienia, serdeczności czy wzajemnego kontaktu poza klasą. Wyjątek stanowił katecheta, ks. prof. Lutyński, z zamiłowania, a może i z profesji psycholog. Przepadał za młodzieżą i był prawdziwym naszym przyjacielem. Mimo to przysparzailiśmy zacnemu księdzu masę udręki; na lekcjach panował z reguły wrzask, a nasz katecheta znosił to ze stoicyzmem. Czasami najaktywniejszych pozostawiał za karę w klasie po lekcjach, co mi się też przydarzyło. Pamiętam, jak raz namówiłem klasę, aby tym razem nie dokuczać księdzu i spokojnie cicho siedzieć. Gdy katecheta wszedł i zamiast zwykłych wrzasków spotkała go cisza, poczuł się nieswojo - przeczuwał jakąś superdrakę. Przez długą chwilę rozglądał się niespokojnie, po czym dowcipną inwokacją rozładował nienormalną atmosferę. Gromki śmiech, wrzask i lekcja potoczyła się normalnym trybem.

Serdecznym opiekunem sztubaków był w „Jagiellonce” starszek woźny, zwany „Wujciem”. Dyskretnie wpuszczał do szkoły spóźnionych uczniów, którzy dzięki temu unikali usprawiedliwiania się przed wychowawcą. Na pomoc „Wujcia” można było liczyć w różnych kłopotliwych sytuacjach (oderwany guzik, zabłocone buty, wyjście do miasta w jakiejś awaryjnej sprawie itp.) Starszek był już co prawda na emeryturze, a formalne rządy

w portierni sprawował jego jękający się syn - (a może zięć?) - o imieniu Damian. Z tym już nie dawało się wszystkiego załatwić, należało ostrożnie koło niego chodzić, a już - nie daj Boże - zająknąć się. Czasem udawało się przekupić cerbera papierosem i wtedy dawał nam ukradkiem zeszyty z klasówkami z lat poprzednich przeznaczone do spalania w kotłowni, a zawierające bezcenne rozwiązania zadań matematycznych lub „extemporala” z łaciny. (Tematy się zwykle co 2 - 3 lata powtarzały).

W szkole miałem okazję poznać kilka wybitnych, szczególnie zasłużonych dla Płocka osób: Dr Aleksander Maciesza był moim szkolnym lekarzem i niejednokrotnie korzystałem z jego porad i zwolnień (np. z gimnastyki, której nie lubiłem). Kilkakrotnie bywałem w prywatnym gabinecie Doktora w jego mieszkaniu przy ul. Sienkiewicza. W poczekalni wisiały kolorowe afisze o zwalczaniu jaglicy, wówczas bardzo groźnej choroby oczu. (Dr Maciesza był okulistą).

Prof. Czesław Idźkiewicz - współtwórca polichromii wnętrza płockiej katedry - uczył mnie rysunku. Ksiądz Starościński wprowadzał w arkana sztuki muzycznej. Nieraz na mieście widywałem Ks. Bpa Nowowiejskiego - okazała posturą postać, już wtedy poruszająca się z widocznym wysiłkiem.

A jakże charakterystyczną, z Płockiem związaną osobą był właściciel apteki przy Placu Narutowicza, mgr Bolesław Włodkowski! Dobrze sytuowany samotny pan - poza farmacją - poświęcił się swojej wielkiej pasji życiowej - łowiectwu. Przez wszystkie lata prezesował „Płockiemu Towarzystwu Racyonalnego Polowania” i - jakby to się dzisiaj rzekło - sponsorował jego działalność. Utrzymywał w wynajętym na ten cel lokalu przy ul. Grodzkiej klub myśliwski i minimuzeum przyrodnicze. W czwartkowe wieczory zbierała się tam elita towarzyska Płocka. W roku 1937 przez kilka miesięcy mieszkałem na stacji w lokalu, z którego wydzielono kilka pokojów na ów klub - miałem więc okazję przysłuchiwać się „przez drzwi” odgłosom dysput i opowiadań myśliwskich. Mgr Włodkowski przyjaźnił się z moim Ojcem, leśniczym z Korzenia koło Łącka - takim samym entuzjastą łowiectwa.

W roku 1924 Bolesław Włodkowski był inicjatorem i jednym z głównych fundatorów sztandaru Towarzystwa. Na płacie - obok wizerunku Św. Huberta i emblematów łowieckich - widnieje herb Płocka i nadany Miastu w roku 1921 Krzyż Walecznych. Sztandar ten przetrwał wszystkie zawieruchy wojenne i powojenne. Wydobyty z ukrycia w roku 1972, po niezbędnej konserwacji przechowywany jest obecnie w siedzibie Okręgowego Zarządu Polskiego Związku Łowieckiego w Płocku.

W roku 1938 mgr B. Włodkowski własnym sumptem i staraniem, kosztem około 2000 ówczesnych złotych wznosił w łowisku leśnym w pobliżu wsi Cekanowo k Płocka pomnik - kapliczkę ku czci patrona myśliwych Św. Huberta. 6-metrowa masywna budowla z kamienia polnego przetrwała nienaruszona do naszych czasów i stanowi jeden z pomników kultury materialnej, jaki wniosło łowiectwo do skarbcza dorobku historycznego Ziemi Płockiej. A na narożnej kamienicy przy zbiegu ul. Tumskiej i pl. Narutowicza Płockie Koło Łowieckie im. Św. Hu-



Pomnik Św. Huberta ufundowany w roku 1938 przez Bolesława Włodkowskiego w Cekanowie k. Płocka.

berta odstoniło w roku 1998 tablicę pamiątkową ku czci Bolesława Włodkowskiego, tak zasłużonego dla Miasta i Regionu Płocczanina.

Gmach Gimnazjum Im. Króla Władysława Jagiełły przy ul. 3 Maja imponował nowoczesną dla tamtych czasów architekturą, racjonalnym rozkładem pomieszczeń i posiadał swoistą atmosferę, rzekłbym: uroczysto - patriotyczną. W westybulu, po obu stronach szerokich schodów widniały dwie duże tablice z czarnego marmuru z napisem, który pozostał mi w pamięci: „Na polach walk i w niewoli, za świętą sprawę wolności żywot swój poło-



Tablica na pomniku Św. Huberta.

żyli uczniowie tej szkoły”. Poniżej nazwiska, miejscowości i daty. Kilkadziesiąt nazwisk. Lata 1918-1921. Corocznie w dniu 11 listopada odbywały się uroczyste apele poległych. Tablic tych nie widziałem, gdy w latach sześćdziesiątych ub. wieku odwiedziłem szkołę.

Nasza „buda” była szkołą na owe czasy świetnie utrzymaną i wyposażoną. Do roku 1937 tylko na „zajęcia praktyczne” chodziliśmy raz w tygodniu do „Małachowianki”. Idąc tam, mijaliśmy na rogu ul. Małachowskiego postrzępiony kulami fragment muru opatrzony napisem: „Ślady walk z bolszewikami w dniu 18 sierpnia 1920 roku”.

W roku 1938 do programu klas licealnych włączono naukę prowadzenia samochodu. Szkoła posiadała już wtedy dwa samochody osobowe do nauki jazdy. Na lata trzydzieste był to ewenement chyba nigdzie nie spotykany. Przy gimnazjum istniały kółka zainteresowań, m.in. kółko fotograficzne z dobrze wyposażoną ciemnią. Bywałem tam często i poznałem tajniki obróbki laboratoryjnej światłoczułych materiałów fotograficznych. Zaglądał tam nieraz sam dr Aleksander Maciesza - zamiłowany fotografik i opiekun naszego kółka. Pasja fotografowania nieprzerwanie towarzyszy mi od tamtych czasów.

Parę słów wspomnienia poświęcę też moim kolegom. Reprezentowali wiele warstw społecznych. Dominowali chłopcy ze środowisk urzędniczych. Sporo było synów chłopskich, ci byli może nie tyle najzdolniejsi, co najpilniejsi. Mieliśmy w klasie również paniców z ziemiańskich pałaców i dworów. Niekiedy widywało się przed szkołą czterokonne karety ze stangretem i lokajem na koźle - oczywiście w liberjach. Chłopcy ci, jako koledzy byli dość równi, a dysponując groszem fundowali nam lody lub wodę sodową. Sfery przemysłowe reprezentowali przeważnie Niemcy i Żydzi. Było ich po kilku w każdej klasie. Z reguły pilni i zdolni. Nie wyróżniali się zbyt swymi poglądami i obyczajem. Różnicę widziało się zazwyczaj wtedy, gdy my zostawaliśmy w klasie na lekcje religii, a oni wychodzili gdzieś na swoje lekcje.

Przez pierwszy rok mieszkałem w internacie, mieszkał też tam mój starszy brat Janek. Później przeprowadziłem się dość często na prywatne stancje, gdzie mi się różnie lecz zawsze nieźle wiodło.

Takie były moje początki w Płocku. Trudno było mi się przyzwyczaić. Długi czas przecierałem oczy. Później też szło mi kulawo i rodzice mieli ze mną wiele kłopotów, bo i „sprawowanie” nieraz szwankowało, i choroby - przeziębienia - często się przydarzały. Płock poznałem dość dokładnie i to piękne miasto wywarło na mnie silne wrażenie, dostarczyło wspomnień i do dzisiaj jest mi najbliższe.

Płock lat trzydziestych! Miasto z charakterem, z wyrazem, ze swoistą atmosferą. Gdy teraz sporadycznie tam bywam, szukam wspomnień z tamtych lat. Znajduję je w uliczkach Starówki, na wzgórzu Tumskim i wielu pamiętnych miejscach mojego ówczesnego pobytu. Choć oprawa wizerunku centrum miasta pozostała prawie nie naruszona, jakże zasadniczo zmieniła się treść życia miasta!

Idąc ulicą Tumską, wypatruję rzędu archaicznych sa-

mochodów przed cukiernią Szałańskiego. Przyjechali nimi wąsaci ziemianie na popołudniową kawę i preferansa. A gdzie się podziały owe powozy zaprzężone w pełnokrwiste ogiery ze stadniny w Łącku przywożące eleganckie damy i strojnych panów? Widzę masztalera na koźle w popielatym uniformie z trudem trzymającego wodze rwących się koni, słyszę miękki turkot kół po bruku, śmiech dam, okrzyki rozbawionego towarzystwa.

W jednym z dość ciasnych podwórek zabudowy ul. Tumskiej zaraz na jej początku mieścił się dworzec autobusowy, dokąd wąską bramą wjeżdżały i skąd też wyjeżdżały potężne pojazdy kształtem swym przypominające dziewiętnastowieczne dyliżanse. Na dachach piętrzyły się misternie umocowane bagaże podróżnych, co czyniło wrażenie poważnych wojaży do odległych krain. Podziwiałem kunszt kierowców prowadzących te machiny po nieszerokich przecie brukowanych uliczkach naszego Miasta i następnie po szutrowych, wyboistych szosach Mazowsza. Pierwszą asfaltowaną nawierzchnię drogi wybudowano dopiero latem 1939 roku z Łącka do Warszawy. (Mówiono, że gwoli wygody Marszałka Rydza Śmigłego, który wtedy latem rezydował w łąckim pałacu).

Obiektem szczególnego zainteresowania był dla nas - uczniów postój taksówek na Placu Narutowicza przed apteką pana Włodkowskiego. Popatrzeć na samochody, posłuchać barwnej gwary kierowców, ich kpin pod adresem stojących opodal konnych dorożek - nieodmiennej konkurencji. A taksówki wciąż się zmieniały. Co roku ubywało poważnych kanciastych pudeł. Ich miejsca zajmowały nowocześniejsze już samochody o liniach zaokrąglonych. Pokazały się też wkrótce „Polskie Fiaty” - rewelacja! Świat zmieniał się na naszych oczach!

Wielkim wydarzeniem była w naszym Mieście budowa i otwarcie w roku 1938 nowego żelaznego mostu na Wiśle. Nosił on miano „Mostu Legionów”. Obok jezdni, za barierką przebiegał tor kolejowy. Pociągi z Kutna dotychczas kończące swój bieg w Radziwiu jeździły odtąd do Sierpca i odległej Brodnicy. A w dzielnicy Kostrogaj powstała nowa stacja kolejowa. Niespokojne były losy nowego mostu. We wrześniu 1939 r. został wysadzony przez Wojsko Polskie, a po odbudowie wysadzili go z kolei Niemcy w styczniu 1945 roku. Po kolejnej odbudowie służy Miastu po dziś dzień. Nowoczesna przeprawa mostowa przez Wisłę zmieniła oblicze Miasta, wprowadzając w jego specyficznym spokojną atmosferę oddech „wielkiego świata”. (A swoją drogą żal mi starego poczciwego drewniaka).

Jedynie w dzielnicy żydowskiej, na ul. Szerokiej, nazwanej później ulicą Kwiatka czas zatrzymał się na połowie XIX wieku. Tam się widywało rankiem pobożnych Żydów w rytualnych chałatach i jarmulkach poważnie kroczących do synagogi. Tam gnieździł się rój mikroskopijnych sklepików, w których wszystko było tańsze, a sklepiki zawsze były otwarte z wyjątkiem piątkowych wieczorów i sobót. Wielkim powodzeniem cieszył się sklepik ze skrótami obowiązujących lektur szkolnych. Zamiast wielodniowego ślęczenia nad Trylogią lub Orzeszkową, można było owe dzieła poznać z „bryku” w ciągu kilku-

nastu minut i potem coś na ich temat wystękać przed profesorem.

Wieczorami ulica Szeroka była domeną dam z tzw. „półświatka” przechadzających się ochoczo od rogu do rogu. Na ogół unikaliśmy ul. Szerokiej o tej porze, aliści wciąż nęciło nas owo nieznane, niepokojąco niewiadome. Damy swym makijażem, strojem i specyficzną swobodą zachowania budziły w nas strach. Zdarzało się czasem, że któraś z nudów lub dla zabawy zaczęła i nas. Wówczas: ratuj się kto może! A leciał za nami śmiech i barwny doping ich specyficznej gwary. Paradowali tam najczęściej przepustkowi żołnierze. Chłopy wielkie, pucałowate i srogie. Niektórzy mówili jakoś dziwnie, z zaśpiewem przeciągając sylaby. Wielu żołnierzy pochodziło z kresów wschodnich. Ci wszystkim się dziwili i przyglądali się ciekawie naszemu miastu i tutejszemu życiu. Z czasem udało mi się nawiązać kontakty i z wojskiem. Bywało, że przekradaliśmy się dziurą w płocie w rejon pułkowych stajen. Wdychało się ostry, jakże przyjemny zapach koni, aż w nosie wierciło amoniakiem! A za parę papierosów można było asystować przy ceremonii obrządzenia i karmienia koni oraz posłuchać żołnierskich pogwarek zwykle ukierunkowanych tematycznie w dziedzinie spraw wstydlivych, traktowanych tu z wielkim naturalizmem. Taka sobie szkoła życia - teoretyczna wprawdzie. Wizytacje wachmistrza kończyły się z reguły naszą szybką i bezapelacyjną ekstradycją. Za parę dni byliśmy tu znowu, a oblicza żołnierskie rozjaśniały się na nasz widok z nadzieją na kolejnego papierosa. Byliśmy też wiernymi kibicami wszelkich świąt pułkowych, parad i imprez z tymi świątami związanych.

Z szacunkiem patrzyło się na sunących chodnikiem oficerów kawalerii w długich płaszczach, brzękających dyskretnie ostrogami, nierazko bywali nawet „przy szabli”. Snuty się w środowisku płockim legendy o oficerskich pojedynkach na szable, rozgrywanych - ponoć - w górnych salonach cukierni Szałańskiego. Ile w tym było prawdy, nie można dociec. Legendy te podniecały naszą wyobraźnię. Wszak chodziło w tych sprawach o honor oficera i damy. Obie dziedziny dla nas równie abstrakcyjne.

Wśród oficerów 4. Pułku Strzelców Konnych mieliśmy „swoich”, najbardziej nam imponujących poruczników. Oni wygrywali zawody pułkowe, najlepiej „brali” przeszkody na krytej ujeżdżalni, czarowali elegancją munduru, efektywnie się prezentowali na parkiecie letniego dancingu przed gmachem teatru. Zazdrościliśmy im. A już szczytem szczęścia bywała dla mnie okazja pokazania się na ulicy w towarzystwie jednego z „naszych” poruczników - był nim zwykle ppor. Wodzicki, który mnie trochę znał, bo był w nas w Korzeniu na polowaniach.

Niewątpliwą osobliwością płockiego folkloru był klasztor Mariawitów przy ulicy Dobrzyńskiej z piękną architekturą francuskiego neogotyku. Obecność Mariawitów na ulicach miasta miała posmak sensacji, jako że pod koniec lat trzydziestych doszło u nich do rozłamu i obie skłócone frakcje zwalczały się nader agresywnie. Bywałem świadkiem potyczek staczanych przez popielate habity ku ucieście ulicznej gawiedzi. Szeroko znanym Mariawi-

tą był dr Kopystyński, znakomity lekarz, sławny po obu stronach Wisły, bezinteresownie służący swą wiedzą biedocie miejskiej i wodniackiej braci.

Zapamiętałem surowy mur więzienia przy ulicy Sienkiewicza. Był tam osobiwy napis na tablicy nad bramą: „Wśród niecnych postrach nieci, sprawiedliwych ubezpiecza tym domem Fryderyk Wilhelm Trzeci”. Napis ów skłaniał do myślenia historycznego, bo kiedyż to rządził w Płocku ów Fryderyk i któż to był zacz? Krótco przed wojną napis skrócono na: „Sprawiedliwych ubezpiecza ten dom”.

Widzę na ulicy Królewieckiej, opodal Nowego Rynku ciąg sklepów rzeźnickich. Na wszystkich wywieszki: „Dziś flaki” lub: „Dziś golonka z grochem puree”. A w drzwiach oparty o futrynę stoi potężny rzeźnik w skropionym krwią fartuchu. Czeką na gości. Obok niego czeka też pies rzeźnika, zazwyczaj buldogowaty - cwajnosem zwany. Nie znałem wówczas flaków, ani golonki z grochem. Wyobrażenia nasuwała mi jakieś potrawy mocne i groźne, jak ów rzeźnik i jego pies. Przechodziłem obok nich ostrożnie i z szacunkiem.

W końcu września Nowy Rynek i przyległe uliczki zapelniały się mrowiem ludzkim. Na słynny jarmark Św. Michała zjeżdżały się zewsząd tłumy wieśniaków przywożące na sprzedaż plony mazowieckiej wsi i kupujące wszelakie artykuły niezbędne do życia i mozolnej pracy rolnika. Gwar był niesłychany i tumult, jako że poważniejsze transakcje musiały być „zakrapiane”, z czego wynikały też „towarzystwo - handlowe” nieporozumienia. W tłumie uwijali się złodziejaszkwowie i oszuści wszelkiej maści. Sprawiało to wrażenie swego rodzaju „karnawału” folklorystycznego. Byłem z natury ostrożny i zwykle przyglądałem się imprezie z bezpiecznej odległości. Po dwóch dniach rynek pustoszał i znowu można było spokojnie oglądać jedyne w Płocku Chińczyka, który prowadził kramik z pasmanterią w okrągłym budynku jatek na środku rynku.

Ulica Kolegialna, której nazwę zmieniono później na ul. POW - w porze zimowej bywała wieczorami tradycyjnym szlakiem spacerów młodzieży. Do dobrego tonu należało paradowanie z kolegami chodnikiem na odcinku od ul. Tumskiej do sklepu Dytrycha, tam i z powrotem. Zawierało się przy tym znajomości z pensjonarkami „od Reginek” (Gimnazjum Żeńskie im. Reginy Żółkiewskiej). Dzisiaj zwię się to „podrywaniem”. Fruwały w powietrzu

zarciki, spojrzenia, uśmiechy i zaczepki. Było wesoło i swobodnie. Zdziwiałające, że nie słyszało się w ogóle słów dzisiaj powszechnie używanych publicznie na każdą okazję i bez okazji, a zaczynających się literą „k”. Do dziś nie mogę pojąć jak słowo to doszło do tak zawrotnej kariery, chyba za sprawą naszych współczesnych mediów (prasa, radio, TV) skąd jędrną prozą tryskają „znakomici” aktorzy, piosenkarze itp.

Latem corso młodzieżowe przenosiło się na Wzgórze Tumskie i tam kwitło nasze życie towarzyskie, jeśli to tak nazwać można. Ze Wzgórze rozciągał się przewspaniały widok na dolinę Wisły i położone tam lasy. Szczególne wrażenie robiły wieczorami nadciągające z daleka burze i błyski piorunów na tle ciemnych chmur rozświetlające daleki krajobraz.

Niezapomniane są dla mnie słynne płockie audycje muzyczne i wokalne odbywające się okresowo w miejscowym teatrze. Już sam budynek teatru robił wrażenie misternego piękna zawartego w białych ścianach klasycystycznej budowli. Przyjeżdżali tu znakomici artyści muzycy i śpiewacy. Została mi w pamięci smukła sylwetka znakomitej skrzypaczki Ireny Dubiskiej i arie operowe śpiewane przez sławnego tenora Stanisława Gruszczyńskiego. Audytorium stanowiła młodzież wszystkich szkół średnich Płocka. Udział był obowiązkowy, całymi klasami pod nadzorem wychowawców. Konferansjerem był zawsze ksiądz Starościński, postać bardzo charakterystyczna i z Płockiem związana. Z niezwykłą energią i zapalem przekazywał nam arkana sztuki koncertowej, z błyskiem oczu, z gestem i rozmachem. Zawsze pełen ruchu, zamaszysty, uczył nas poznawać piękno utworów. Nie byłem nigdy muzykalnym, ani też obdarzonym tzw. słuchem. Mimo to, dzięki objaśnieniom Księdza potrafiłem się wczuwać w świat muzyki i śpiewu. Milkły żarty, „oczka” do koleżanek, wzajemne obserwacje. Wszyscy słuchali, bo każdy chciał znaleźć w muzyce potwierdzenie wrażeń, które przed chwilą ksiądz Starościński zapowiadał. Był on autorem kompozycji płockiego hejnału, do dzisiaj rozbrzmiewającego z wieży zegarowej płockiego zamku.

Nie ma teatru. Rozebrali go Niemcy. Nie ma Księdza, choć ponoć przeżył wojnę. Nowy Płock rozwinął się szeroko przedmieściami, ale na Starówce pozostało tło dla wspomnień, dla poznawania tych miejsc, o których się myśli jak o starych i dobrych przyjaciółtach.